

Motywacyjna rola demokracji

Autor tekstu: **Stanisław Smuga-Otto**

Dwa tygodnie temu ukazał się na tym blogu świetny esej p. Anny Salman pt. „ E-wolucja zamiast (r)ewolucji”. Zapowiedziałem wtedy w mym wpisie do niego, że postaram się urodzić jakiś „kontr-referat” i podzielę się nim z Wami. To, co poniżej, jest więc wielce fragmentaryczną próbą ustosunkowania się do niektórych przynajmniej tej futurologicznej wizji Autorki. Jej proponowanych rozwiązań funkcjonowania demokracji w dobie komputerów i internetu. Ale że sam temat „demokracja” jest ogromny jak ocean i różnie przez różnych rozumiany, ograniczę się do zaledwie kilku jego aspektów.

Zacznijmy więc od pytania: czym jest ta demokracja i co w niej tak atrakcyjnego, że bez wstępnego zastanowienia chcemy wszyscy, i ci z prawej, ze środka i z lewej strony spektrum, jej implementacji? Nie będę wracał do Aten, nie mam zamiaru analizować „demokracji ludowej” Peerelu i sąsiednich „demoludów”, ani „sterowanej demokracji” Putina. Również i Narodowa Demokracja nie będzie przedmiotem rozważań. Wszyscy jednak dobrze wiemy i zgadzamy się, że demokracja jest cacy... ludowa, sterowana, narodowa. Niektórzy za nią walczą, czasami za nią nawet giną. A ta przedstawicielska? I tu rodzą się wątpliwości. Pisze Autorka: *„...daliśmy sobie wmówić, że jedynym narzędziem demokracji jest kartka wrzucona raz na cztery lata do pudełka owiniętego w barwy narodowe...”*.

No, takie stwierdzenie chyba zbyt upraszcza, trywializuje zagadnienie. Ale wróćmy od początku... jak głosi powiedzonko wszystkim zapewne znane: *„demokracja jest systemem niedoskonałym i ułomnym, ale lepszego jeszcze nie wymyślono”*. Jestem zdania, że powiedzonko mówi prawdę. Ułomna, niedoskonała, ale... jednak najlepsza. Przynajmniej u nas, w zastosowaniu do społeczeństw zachodniej cywilizacji. Bo, gdy pomyślimy o społeczeństwach kultur azjatyckich, a konkretnie konfucjańskich, tam może być inaczej. Inaczej też, niż p. Anna Salman, widzę zalety tego systemu.

Ona — znajduje je w stopniu **prawidłowości podejmowanych decyzji**. I dlatego rozważa — za Tofflerem, Szymborskim i Surowieckim - jakby tu poszerzyć grupę decyzyjną, bo „zawodowi” parlamentarzyści to przecież lenie, szachraje, nieroby i cwaniaki, na nich polegać nie można. Więc dodaje „parlamentarzystów społecznych”, czyli e-posłów, korzystając z powszechnej dostępności do Internetu. Jeśli prawdą jest — a tego przecież tak nikt naprawdę nie wie, że większa ilość decydentów gwarantuje wyższą jakość decyzji no, to może i warto byłoby dodać te kilka tysięcy e-posłów, by zrównoważyli głupotę i nieuczciwość zawodowców. Ja jednak, intuicyjnie, nie wierzę w tę regułę, nawet jeśli parę naukowych autorytetów stoi za tym stwierdzeniem. A nawet, w przeciwieństwie do tych autorytetów jestem zdania, że mądry tyran — jednostka, a nie tłum — jest najpewniejszym źródłem słusznych i jakościowo wysokich decyzji. Przykładem mógłby tu służyć np. Singapur. On mądrze decyduje, a oni pilnie wykonują. Ale Polska, czy inne kraje zachodniej cywilizacji, to nie Singapur. Nawet gdyby znalazł się jakiś mądry monarcha, to społeczeństwo by go zgodnie olało, bo nie miałyby motywacji i ochoty, by dać sobą kierować.

Ja — natomiast jestem zdania, że siła demokracji polega na jej **aspekcie motywacyjnym**, a nie decyzyjnym, bo w mądrość tłumów jakoś trudno mi uwierzyć. I dlatego nie będę zastanawiał się wraz z Autorką nad szczegółami technicznymi jej e-projektu. Ilu e-posłów — trzy czy może sześć tysięcy, jak długa e-kadencja, jak blokować czy odblokowywać PESELe itp. bo uważam, że nie tędy droga. Dodanie tych paru tysięcy anonimowych posłów nie uwiarygodni w oczach społeczeństwa ani o jotę polskiej demokracji. Nie spowoduje społecznego poczucia, że to „my — ty i ja — tu rządzymy”, że to NASZ kraj. Nie spowoduje, że większość społeczeństwa powróci z wewnętrznej emigracji, że nie będziemy czekać tylko na okazję, by prysnąć do Anglii czy Irlandii na saksy. Uważam, że droga poprawy wiedzy poprzez przekonanie każdego z nas, że to my jesteśmy gospodarzami tego skrawka Europy. A jak to osiągnąć???

Warto byłoby może prześledzić, jak dają sobie z tym radę inni. Jak na przykład wygląda obowiązkowy kalendarz amerykańskiego czy kanadyjskiego parlamentarzysty. Ile czasu i z jaką częstotliwością taki „wybraniec” musi spędzić fizycznie ze swoimi wyborcami w macierzystym obwodzie wyborczym.

Np. — wyobraźmy sobie taki scenariusz — mieszkańcy pustynnego miasteczka Winnemucca w Nevadzie (może być każde inne, ale wybrałem Winnemucca, bo mnie kiedyś zauroczyło) wybierają sobie Annę S. - reprezentującą partię republikańską, a więc i pewien podstawowy dla tej partii zespół przekonań i wartości. I p. Anna jedzie do odległego o kilka tysięcy kilometrów

Waszyngtonu, by tam reprezentować... Partię? Nie, moi drodzy, swych wyborców, z których większość ma przecież poglądy „republikańskie”, ale niekoniecznie zgodne z aktualnymi decyzjami polityczno-ustawodawczymi kierownictwa partii. I, podczas swych cotygodniowych wizyt w swym obwodzie w miasteczku Winnemucca, musi pani Anna spędzić sporo godzin ze swymi wyborcami i przekonywać ich, że projekt republikański ma sens, że jest na ich korzyść i dlatego będzie chciała głosować „za”. Ale jeśli nie przekona, jeśli wyczuje, że opinia miejscowych jest raczej nieprzychylna, to wróci za dwa dni do Waszyngtonu i zagłosuje „przeciw”. Przeciw projektowi swej partii — i to normalne, nikt jej za to ani nie obsobaczy, ani z partii nie wyleje. A, po upływie kadencji, gdy mieszkańcy Winnemucca znów „wrzucać będą kartki do pudełka owiniętego w barwy narodowe” (albo naciskać guziczki magicznej skrzynki w takie same barwy przystrojonej), to na większości tych kartek przy nazwisku pani Anny widnieć będzie krzyżyk, czyli znak wyboru właśnie jej. A także, podczas tych cotygodniowych odwiedzin swego obwodu spotka się parlamentarzystka z indywidualnymi prośbami o pomoc prawną, konsularną czy inną — i tej pomocy, jeśli uzna jej zasadność, nie odmówi.

To tylko jeden z przykładów wciągania „zwykłego człowieka”, wyborcy w system funkcjonowania demokracji. A jest ich znacznie więcej — bo demokracja, to wielki spektakl dla tłumów, którego ostatecznym celem jest przekonanie współobywateli, że to oni rządzą, że są u siebie, w swym kraju. I — jak każdy mieszkaniec naszej planety może na własne oczy stwierdzić, że to działa i daje wspaniałe rezultaty.

Czy więc wszystkie e-pomysły to tylko czcza futurologia? Nie, tak nie uważam i nie uważałem. I gdy kilka lat temu nastąpiła zmiana ekipy administrującej krajem, którego od lat prawie trzydziestu jestem obywatelem, a nowy szef rządu w Ottawie prosił nas, wszystkich obywateli kanadyjskich o wzięcie udziału w dyskusji nad usprawnieniem systemu rządzenia, ja wziąłem. Choć zdawałem sobie sprawę, że sama idea takiej dyskusji — to świetny pomysł z dziedziny PR. I właśnie, trochę tak jak pani Anna, ale jednak nieco inaczej, proponowałem wykorzystanie komunikacji elektronicznej, ale dla celów częstego przeprowadzania referendów. Proponowałem również, by uczestnictwo w takim referendum było ograniczone do obywateli, którzy się zakwalifikują (już widzę święte oburzenie w oczach czytających te słowa). Kwalifikacja byłaby dwustopniowa, i nie brała pod uwagę pochodzenia etnicznego, płci, stopnia zamożności, wyznawanej religii, orientacji seksualnej, poziomu wykształcenia, itp. Pierwszy stopień to, podobnie jak przy uzyskiwaniu obywatelstwa Kanady, test z podstawowych wiadomości o kraju, jego historii, jego systemie politycznym. Ten stopień kwalifikował by osobnika do wejścia w komputerowy system referendalny, nadawał by mu jego PIN. Stopień drugi, to tematyczny test z podstawowych wiadomości dotyczących tematu konkretnego referendum — a jego skuteczność byłaby jednorazowa, ograniczona tylko do tego jednego tematu. Oba testy proste, pytania o wiadomości podstawowe — nie wymagające od egzaminowanych wykształcenia akademickiego, głębokiego intelektu, ani błyskotliwego refleksu. Każdy chętny i zainteresowany w uczestniczeniu w życiu publicznym państwa mógłby spróbować — drzwi dla każdego dorosłego obywatela byłyby otwarte. Można byłoby liczyć się z tym, że po jakimś czasie przynajmniej co drugi, trzeci obywatel chciałby wejść w system. A to już dobre kilka, a może nawet kilkanaście milionów — więc efekt „motywacyjny” kolosalny.

Wspominam o tej prośbie premiera rządu federalnego z dwóch powodów. Po pierwsze, bo sam pomysł zadania obywatelom takich pytań wydaje mi się niezłym chwytem PR. I mam nadzieję, że nie jest to jedynie mamienie opinii publicznej, że niektóre przynajmniej propozycje zmian czy usprawnień kiedyś „się przebiją”. Po drugie, że to co zaproponowałem w odpowiedzi na apel premiera ma charakter dosyć uniwersalny, a więc możliwe byłoby do zastosowania również i w Polsce.

W swym króciutkim komentarzu do eseju p. Anny zwróciłem uwagę na, według mnie, niewłaściwe wprowadzanie i stosowanie pojęcia "NARÓD" w tematykę dotyczącą funkcjonowania demokracji. Teraz ten temat postaram się nieco rozwinąć, bo i on znalazł się we wspomnianym felietonie.

Jako prawdę niepodważalną podaje Autorka:

...W systemie demokratycznym jedynym podmiotem uprawnionym do sprawowania władzy, czyli do uprawiania polityki, jest naród, stąd wszelkie działania członków danego społeczeństwa podejmowane w przestrzeni publicznej są niczym innym, niż działaniami politycznymi....

Naród??? A co ze społecznością miasteczka Winnemucca? Zintegrowaną, wybierającą ponownie do Kongresu panią Annę? Wszak te siedem tysięcy mieszkańców — dumnych z tego i ogłaszających wszem i wobec na tablicy witającej na rogatek miasteczka że: „5 miliardów ludzi nigdy tu nie było” — i pewnie drugie tyle rozsiane na przestrzeni wielu mil pustyni wokół, to i biali osadnicy

i Meksykanie, Indianie i Afro-Amerykanie. Łączy ich jednak nie narodowość, a ta ich mała ojczyzna w bezkresie pustyni - Winnemucca.

Do terminów „naród”, „narodowość” przyzwyczailiśmy się. Wpisały się w krajobraz naszej wyobraźni i nie zauważamy już nawet, jak trujące miazmaty niosą ze sobą. Bo to i w hymnie „złączym się z narodem”, i w konstytucji o tym kto, jak i kogo ma reprezentować. Inni też nie lepsi, a nawet czasami gorsi. Bo w paszportach np. kanadyjskich występuje nadruk „nationality”, podczas gdy dzięki komuś uważnemu i myślącemu, w polskich dokumentach podróży informuje się o „obywatelstwie”. Powstała zaraz po II wojnie ONZ też w swej nazwie ma „naród”, a nie „państwo”, choć jedną z jej podstawowych przyjętych zasad jest suwerenność właśnie państw, a nie narodów. Ten semantyczny galimatias, ta dobrze brzmiąca zasada kosztowała życie wielu milionów ofiar, bo pozwalała na bezkarne wyrzynanie się narodów w ramach suwerennych państwowości. Bez prawa interwencji z zewnątrz.

Czas więc chyba, by się zastanowić: przecież samo połączenie pozytywnie brzmiących terminów jak demokracja czy socjalizm z narodem dało w wyniku NSDAP, dało też Narodową Demokrację. Wszak to z pojęcia i poczucia odrębności narodowej powstawały monstra w rodzaju „narodu panów”, ruchy narodowe typu „wszechpolacy”. Polski mesjanizm, polskie przekonanie o byciu „Chrystusem narodów” też podobne ma korzenie. To z terminu naród.. .nacja bierze swój rodowód nacjonalizm. Od dziecka uczono nas, że nacjonalizm jest „be”, a patriotyzm „cacy”. A jakie są korzenie patriotyzmu? Tak, to przecież nie identyfikacja z etniczną grupą, a ze społecznością żyjącą na tym samym obszarze, mającym tę samą ojczyznę — *patrię*. Przykłady można by mnożyć.

Dlatego też w sposób jednoznaczny i zdecydowany przeciwstawiam się stwierdzeniu, że *„...w systemie demokratycznym jedynym podmiotem uprawnionym do sprawowania władzy... jest naród”*.

Nie, nie naród, a społeczność, społeczeństwo. I dopiero wtedy możemy rozmawiać o demokracji i zastanawiać się nad ulepszeniem mechanizmów jej funkcjonowania.

Stanisław Smuga-Otto

Publicysta. Od 30 lat mieszka w Kanadzie.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 28-04-2013)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8929) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8929>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl